# Zagubieni pośród piaszczystych ławic

Żegluga po wielkiej rzece tuż za granicami Warszawy ma mnóstwo uroku. Pisząc o tym w „Żaglach", wiemy, że niektórzy z was skorzystają z naszych locji, by popłynąć w taki rejs, jak autorzy tej relacji z wiślanej przygody. Interesujący opis i ciekawe zdjęcia wystarczą za zachętę do powtórzenia ich wyczynu.

**Tekst i zdjęcia** Agnieszka i Włodek Bilińscy

Przesuwający się za burtą krajobraz zmienia się jak w kalejdoskopie. Tu iskrząca się w słońcu złota łacha, tam strome urwisko ze zwalonymi w nurt pniami drzew bądź niewielka, porośnięta wierzbami wysepka, z której dobiega śpiew ptaków. Nad głowami krążą mewy, a w wodzie mignie czasem głowa bobra.

Ale nie zawsze jest tak idyllicznie. Oglądamy filmik nakręcony podczas majowego rejsu po Wiśle. Pogoda piękna, w oddali widać czerwoną bojkę, płyniemy w dół rzeki. Nagle łódkę trochę obraca i prąd wyraźnie przyspiesza. W tle słychać zdanie: „Zaraz przywalisz w boję". „Spokojnie" – odpowiada sternik, (czyli piszący te słowa) i obraca kołem. Wydaje się, że wszystko pójdzie dobrze, bo do bojki jeszcze dobre cztery metry, gdy nagle...

Łup! Przeraźliwy zgrzyt, nocny koszmar każdego skipera, aż wwierca się w mózg. Kamerzystka traci równowagę, a na monitorze pojawia się wykładzina pokrywająca dno kokpitu naszej barki. Setki mil pokonanych kanałami Holandii i Niemiec, dziesiątki godzin żeglugi na silniku po płytkich, pływowych wodach Waddenzee, kajakowe i pontonowe spływy Krutynią, Liwcem, Pisą, a tu taka wpadka! Odrobina nieuwagi, trochę za mało gazu na manetce, szczypta niefartu... i nieszczęście gotowe. Choć brzmi to trochę jak fragment katastroficznej powieści, wszystko skończyło się dobrze. Przytarliśmy tylko metalowym kilem o ukrytą pod wodą betonową ostrogę, niezbyt dokładnie oznaczoną przez bojkę.

## Zacznijmy od początku...

Przyjaciele zaproponowali nam wspólny rejs barką po Wiśle. Nie musieliśmy się długo zastanawiać. Przed oczami stanęły nam obrazy z lat studenckich, kiedy pomagaliśmy koledze prowadzić badania naukowe w koloniach ptaków zasiedlających wyspy środkowego biegu rzeki. We wspomnieniach wróciły piękne zachody słońca, rozległe plaże i niemal dziewicza przyroda. Tak, koniecznie musimy popłynąć!

Barki okazały się laminatowymi jachtami motorowymi o długości mniej więcej 8 m, zanurzeniu według specyfikacji 35 cm i szerokości 2,8 m. Nowe, schludnie utrzymane, o dosyć prostym standardzie, ale wygodne i jak na swą długość przestronne. Może w nich spać do siedmiu osób, choć wymaga to opuszczenia stołu, dzięki czemu powstaje dwuosobowa koja. Pięciu ludzi żegluje w miarę komfortowo. Bieżąca woda, ogrzewanie gazowe, kuchenka, zlew, chemiczna toaleta, rowery na dachu. Duża nadbudówka tworzy wspaniały pokład „słoneczny". Napęd zapewnia dwunastokonny, czterosuwowy, przyczepny silnik Yamahy. W rejsie wzięły udział trzy „stateczki" Żeglugi Wiślanej, które czekały na nas w warszawskiej przystani WTW pod mostem Łazienkowskim.

Zostawiamy samochody na parkingu, a sami sztaujemy bagaże. Zadziwiające, jak dużo rzeczy trzeba ze sobą zabrać nawet na trzydniowy rejs. Ale chcemy być samowystarczalni. Szkoda czasu na zakupy, a i nie ma po drodze zbyt wielu miejsc, gdzie można je zrobić. Na począ-

tek Bartek – prowadzący flotyllę – zarządza szkolenie manewrowe. Wyjście z portu (uwaga – płytko i wąsko), zakręt pod prąd, zwrot z prądem i następny delikwent za ster oraz do manetki silnika. Koniec nauki. Wyruszamy. Powoli, jedna za drugą, łódki wpływają pod Łazienkowski most. Samochody huczą nad głowami, a my uważnie wypatrujemy drogi. Na razie jest dosyć łatwo, metr głębokości. Autostrada, jak mówi Bartek. Mijamy Grubą Kaśkę – ujęcie wody dla stolicy, most Siekierkowski, kominy Elektrowni Siekierki.

Po drodze pozdrawiają nas wędkarze stojący na kamiennych nabrzeżach i wcinających się w nurt ostrogach albo zanurzeni po uda w wodzie, ubrani w gumowe spodnio-buty. Twardzi goście...

My zresztą nie gorsi. Deszcz leje i silnie wieje. Organizatorzy obawiali się nawet, że zrezygnujemy z rejsu. Wierząc korzystnej prognozie na kolejne dni, zaciskamy zęby i ubrani w sztormiaki oraz kalosze płyniemy w nieznane. Wieczorem powinniśmy dotrzeć w pobliże Góry Kalwarii. Zobaczymy...

## Precz z cywilizacją!

Z każdym kilometrem odgłosy cywilizacji coraz bardziej cichną. Znikają domy, a obłożone betonowymi płytami i kamiennym gruzem nabrzeża uregulowanej rzeki ustępują miejsca brzegom dzikim.

Nasz przewodnik płynie zawsze w pierwszej łódce konwoju. Łączność z pozostałymi zapewniają małe walkie-talkie. Jesteśmy pod wrażeniem spokoju Bartka. Opanowanym głosem doradza, którędy płynąć, i wydaje komendy w razie utknięcia na mieliźnie. Żegluga pod prąd jest stosunkowo łatwa. Jacht dobrze reaguje na zmianę położenia koła sterowego, a szybkości są niewielkie, rzędu 3 – 7 km na godzinę. Prawdziwą sztuką jest znalezienie bezpiecznego przejścia. →

Początek wyprawy – wyjście przez wrota przeciwpowodziowe z przystani WTW w Porcie Czerniakowskim

Wydawałoby się, że mając tak małe zanurzenie, będziemy mieli dużo swobody w wyborze trasy, ale przy niskim poziomie wody to nie jest takie proste. Latem Wisła bywa na niektórych odcinkach „nieprzejezdna" nawet dla naszych bareczek. Wyniesione z kursów żeglarskich wiadomości o żegludze na rzece nie zawsze są wystarczające. Owszem, na zakręcie podmywany brzeg jest stromy, a głębokości całkiem przyzwoite, pianka wskazuje nurt na głębokiej wodzie itd., ale jak stwierdzić, czy ta pomarszczona woda przed dziobem wskazuje krawędź mielizny, a ta nieznacznie tylko bardziej zafalowana – bezpieczne przejście? Po pewnym czasie nabieramy nieco wprawy, ale nie pewności. A co zrobić, kiedy mocno wieje i pada rzęsiście? Albo gdy wychodzące zza chmur słońce zażółca miejscami szare wody, co mylnie bierzemy za płyciznę? Gdzie szukać przejścia, gdy oba brzegi są strome, koryto proste, a Wisła ma kilometr szerokości?

Szlak żeglugowy powinien być i miejscami jest oznakowany. Ale niektóre pławy się „spławiły", prowadząc ewidentnie na manowce, a inne, całkiem podtopione, zauważamy dopiero wtedy, gdy nieomal ocieramy się o nie burtą. Smukłe, pomalowane olejną farbą tyczki często leżą poprzewracane. A nawet jeśli stoją, to słabo je widać. Pół biedy z czerwono-białymi, zakończonymi zabarwionymi na czerwono plastikowymi butelkami po napojach (ciekawe wykorzystanie surowców wtórnych). Najgorsze są zielono-białe kijki wetknięte w skarpę pośród zielonych drzew. Trzeba mieć sokoli wzrok, aby je wypatrzyć, zwłaszcza kiedy szlak przechodzi na drugą stronę szerokiej na kilkaset metrów rzeki. Bez dobrej lornetki ani rusz! Bywa, że trasę wyznaczamy metodą prób i błędów. Ale dzięki temu czujemy się niczym wielcy odkrywcy. A trochę adrenaliny jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Dookoła stacji filtrów Grubej Kaśki prowadzone są bezustannie prace pogłębiarskie. Jak to opłynąć?

## Na falach Królowej

Na wysokości Józefowa, koło Kępy Oborskiej i Okrzewskiej Wisła nabiera charakteru prawdziwie dzikiej i nieuregulowanej rzeki. Jej wody rozlewają się szeroko, a spłycenia i łachy, na których zatrzymują się porwane przez nurt drzewa, zdają się czaić wszędzie. Bezludne wyspy pełne są ptactwa wodnego

Płyniemy w górę Wisły. Przed nami ostatni most Warszawy – Siekierkowski. Z drżeniem wodniackich serc wypływamy na nurt pełen piaszczystych ławic

rozpoczynającego w maju lęgi. Hałaśliwe kolonie mew śmieszek, pośród których rozpoznajemy także mewy pospolite i srebrzyste, widoczne są już z daleka. Setki ptaków latają bez przerwy ponad gniazdami.

Na postój wybieramy te wysepki, gdzie nie widać ptaków. Z dwóch powodów. Po pierwsze nie chcemy zakłócać im spokoju, a po wtóre trochę się obawiamy ataków z powietrza. W obronie jaj rybitwy potrafią dotkliwie dziobnąć intruza w głowę, pikując niczym myśliwce, a poza tym całe to przestraszone skrzydlate towarzystwo zmienia się w bombowce zrzucające śmierdzące ładunki na głowy wrogów.

Znużeni deszczową żeglugą stajemy na chwilę przy jednej z wysp. Miejsce wybraliśmy jednak trochę niefortunnie. Mała plaża otoczona jest niemal nieprzebytą, mokrą gęstwiną. Tylko najdzielniejsi, czy też raczej najmniej rozsądni z nas, decydują się na jej przebycie. Wracają zmoczeni od stóp do głów. Po krótkiej naradzie postanawiamy kontynuować podróż.

I już dzikie plaże, choć jeszcze z dala, za nami, widać zabudowania Warszawy

Godzinę później, już po przepłynięciu pod oboma mostami koło Góry Kalwarii, znajdujemy wyspę naszych marzeń. Ustawiamy się pod prąd, łódka prowadząca ostrożnie dobija do brzegu plaży i po chwili Bartek decyduje, że jest bezpiecznie i woła pozostałych. Cumy wiążemy do pobliskich krzewów, a jeśli ich nie ma, wynosimy na brzeg kotwice i wbijamy w ziemię.

### Jak za dawnych lat

Pogoda się wyraźnie poprawiła, więc z jachtów wysypuje się cała czereda maluchów. Okrzykom radości nie ma końca. „Jaka wspaniała piaskownica! Największa na świecie!" Łopatki, łyżeczki, wiaderka i grabki idą w ruch. Szczęśliwe dzieci. A szczęśliwe dzieci to zadowoleni rodzice. Od razu zaczynają myśleć o wieczorze przy ognisku. Materiału na opał dostarczyły bobry. Wszędzie leży pełno gałęzi i pni uciętych przez małych drwali. Kolację umila nam śpiew słowików dobiegający z pobliskich zarośli. Niedziela zapowiada się słonecznie i leniwie. Niespiesznie zbieramy się do startu. Po krótkich „negocjacjach" ustalamy, że płyniemy do Góry Kalwarii. Przy samym moście leży niewielki port wykorzystywany przez pogłębiarki. Tak brzydki, że →

Autor relacji za sterem

Na dachu każdej łodzi zamontowano uchwyty na rowery dla całej załogi

nawet nie chce nam się go sfotografować. Ale ważne, że jest gdzie stanąć. Trochę płytko i kamieniście. Oczywiście żadnych wygód nie oferuje. Zresztą wygląda na to, że jakakolwiek infrastruktura wodniacka nad Wisłą to pieśń dalekiej przyszłości...

Po obiedzie w niedalekim przydrożnym barze wypływamy znowu w górę rzeki. Planujemy dotrzeć najdalej jak się da i wrócić na „naszą" wyspę, ale po drodze zauważamy inny, jeszcze piękniejszy ostrów. Ze względu na bezpieczeństwo dzieci trochę się obawiamy wysokiego, opadającego wprost w głębinę brzegu, ale okazało się, że drabinki i trapy wożone na jachtach doskonale sprawdzają się w takich warunkach i nie ma żadnego problemu z wysiadaniem na ląd. I znowu ognisko oraz długie wieczorne rozmowy. Na szczęście nie ma jeszcze komarów.

Rankiem próbujemy sfotografować słowika. Agnieszka przykrywa mnie maskującą siatką, spod której wystaje tylko lufa teleobiektywu, puszcza nagranie jego godowego głosu, mając nadzieję, że da się go wywabić ze środka dużego krzewu, ale złośliwiec ani myśli z nami współpracować. Pięknie śpiewa, ale zawsze osłonięty jest gałązkami. Trudno... Za to łozówka i rokitniczka, dwa inne ptaszki, uczynnie nam pozowały. Będą ładne zdjęcia do kolejnej naszej książeczki o przyrodzie.

## Wszystko, co dobre...

Poniedziałek jest ostatnim dniem wyprawy. Zdobyte z dużym trudem kilometry, kiedy z głośno pracującym silnikiem płynęliśmy w górę rzeki, uciekają szybko, gdy żeglujemy z prądem, za to znacznie trudniej się steruje. Każdy manewr należy planować z wyprzedzeniem, a jeśli sternik się zapomni i prąd zniesie go zbyt blisko przeszkody, to z opresji wybawić go może tylko zdecydowana praca manetką gazu i „kierownicą". Za późno już na delikatność i finezję.

To właśnie płynąc w dół rzeki, wpadliśmy na kamienną ostrogę, wjechaliśmy na zatopiony pień drzewa, a jeden z jachtów stanął na mieliźnie. Ponoć to normalne. Nasz szyper wozi ze sobą zapasowe śruby do silnika i czasem się one przydają. Po drodze zauważamy dwa bieliki. Siedziały na piaszczystej wysepce, a potem poderwały się do lotu, by w końcu opaść majestatycznie na drugim brzegu. Imponujące ptaszyska. Gdzie indziej zza ostrogi wypłynęła samica tracza prowadząca kilkanaście pisklaków. Jeden siedział jej na grzbiecie...

Jest tak pięknie i słonecznie, że zapragnęliśmy jeszcze raz pochodzić chwilę po piasku. Tym razem na zupełnie niskiej wyspie. Do schodzenia na ląd potrzebne są ustawione stromo drabinki. Na płynących szybko jachtach było dosyć wietrznie i chłodno, ale na tej ślicznej plaży od razu zrobiło nam się gorąco. Brodziliśmy boso po kostki w wodzie i cieszyliśmy się ciągnącym się aż po horyzont ciepłym piaskiem. Agnieszka znalazła dwa gniazda, zwykłe zagłębienia w piachu, w których leżały jajeczka rybitwy i siewecz-ki. W swoim środkowym odcinku Wisła jest faktycznie dziką rzeką. Pomyśleć, że to tak blisko od Warszawy!

## Powrót do rzeczywistości

Zanim wylądowaliśmy w przystani WTW, popłynęliśmy jeszcze kawałek z prądem, aby zobaczyć warszawską Starówkę od strony wody. Z tej perspektywy wydaje się, że Warszawa to miasto mostów. Na krótkim odcinku widać ich chyba sześć. Tylko stojący w korkach kierowcy jakoś ciągle niezadowoleni! Przydałoby się drugie tyle przepraw...

Z deptaka wypatrzyli nas znajomi załogi jednej z łódek. Próbujemy podejść bliżej brzegu, ale jest za płytko, wobec czego pada pomysł, aby przybić na kilka sekund do burty stateczku turystycznego, zacumowanego nieopodal, aby goście mogli do nas dołączyć. Ku naszemu zdziwieniu załoga statku odmawia pomocy. Generalnie wodniacy tworzą jedną wielką, wspierającą się w potrzebie rodzinę. Jak widać, w niektórych miejscach pokutuje jeszcze sposób myślenia rodem z dawno już na szczęście minionej epoki...

Wszystko, co dobre, niestety, kiedyś się kończy. Po trzech dniach wspaniałego rejsu cumujemy w porcie. Poznaliśmy zaledwie 40-kilometrowy odcinek rzeki, a Wisła jest żeglowna na długości ponad 900 km, więc sporo atrakcji jeszcze przed nami.

Zainteresowanym tego typu wyprawami podajemy kontakt z organizatorami rejsów po Wiśle: http://www.zeglugawislana.pl.